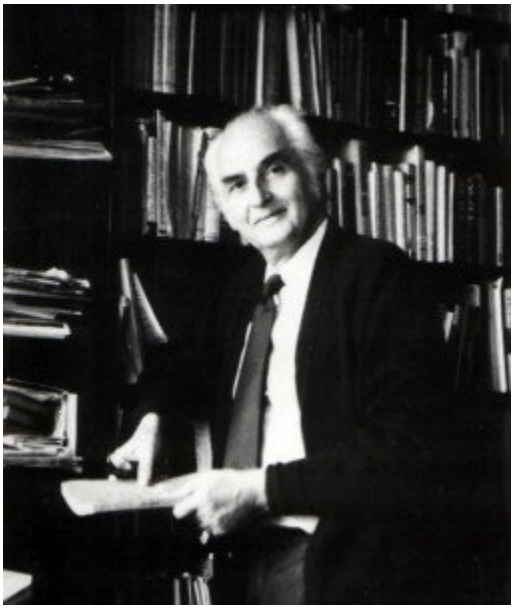
Leopold Pobóg-Kielanowski (1907-1988).



Leopold Pobóg-Kielanowski, fot. Encyklopedia Teatru Polskiego.

Florian Śmieja

“Ja przed wojną jeździłem na pańskie przedstawienia w

Katowicach”, miał powiedzieć Jan Paweł II Leopoldowi Kielanowskiemu.

Ja także jeździłem na te przedstawienia, choć moja motywacja była inna, właściwie nie pamiętam wiele z tych czasów tuż przed wybuchem wojny. Utkwiła mi w pamięci wycieczka uczniów państwowego Gimnazjum i Liceum im. ks. Jana Opolskiego w Tarnowskich Górach na przedstawienie calderonowskiego “Księcia Niezłomnego” w przekładzie Juliusza Słowackiego granego w teatrze Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach. Wysłuchałem tyrad wygłoszonych pięknym językiem przez portugalskiego infanta, jak się miało okazać, Leopolda Pobóg Kielanowskiego, młodego aktora i reżysera hołdującego idei teatru monumentalnego.

Miałem go później zobaczyć w Anglii, wszak był wieloletnim reżyserem Teatru Polskiego w Londynie i wznawiał udane inscenizacje z Polski. Nie zapomniał o “Księciu Niezłomnym”, choć rolę główną grał już ktoś inny.

Tę sztukę obserwowałem już uważniej, gdyż ukończyłem studia iberystyczne. Po latach miałem się zjawić na uniwersytecie wrocławskim jako promotor doktoratu poświęconego tej sztuce.

Zadośćuczyniłem w ten sposób za burszowskie zachowanie w 1938 roku, kiedy wraz z grupą uczniów głośno, dla kawału,

gryzłem suchary, by zakłócić patetyczne sceny dramatu.

A z kurtuazji bardziej niż z przekonania posłałem Kielanowskiemu do wglądu mój przekład moralitetu eucharystycznego Calderona “Tajemnice Mszy św”.

Jerzy Pietrkiewicz. Pigmalion i dumna Galatea.



Christine Brooke-Rose, fot. The Guardian.

Florian Śmieja

Na wsi francuskiej pod Avignon 21 marca 2012 roku zmarła Christine Brooke-Rose (urodzona w 1923 r.), była żona Jerzego Pietrkiewicza (1916-2007), jedna z najgłośniejszych brytyjskich postmodernistycznych powieściopisarek.

Do napisania niniejszego szkicu posłużyłem się, autobiograficzną książką „Remake" z 1996 roku, którą napisała na prośbę wydawcy, a także „Life,End of" z 2006 r. Dało jej to okazję do przeglądu zapamiętanych scen życia, choć nieco sceptycznie ostrzegła, że każda autobiografia jest po części fikcją i że po latach łatwo przypisać sobie wypowiedzi, by swój portret

upiększyć. Natomiast w biografii Pietrkiewicza i informacjach o nim, są tylko bardzo zakamuflowane ślady kobiety, z którą żył przez ponad dwadzieścia lat w najowocniejszym okresie swojej twórczości.

Poznałem Christine bodaj w 1949 roku w Corku, kiedy Pietrkiewiczowie odwiedzili Irlandię, a ja kończyłem studia. Potem pojechałem do Londynu i byłem asystentem Pietrkiewicza w *School of Slavonic and East European Studies* przez cztery lata.

Aczkolwiek Christine urodziła się i wychowała w Szwajcarii, to część dzieciństwa spędziła z ojcem, Anglikiem. Wybuch wojny także zastał ją na Wyspach Brytyjskich. Kiedy wspomina o czasie spędzonym w Liverpoolu, każe mi także myśleć o wojennych chwilach w tym mieście. Tam oglądałem hinduskiego tancerza Rama Gopala, którego ongiś do Polski sprowadził Aleksander Janta, zapamiętałem znakomity koncert filharmonii i zuchwały wyczyn, wizytę w bazie Wrenek, czyli elitarnej Pomocniczej Służby Kobiet Królewskiej Marynarki Wojennej. Do niej aspirowały wykształcone Angielki. Moja przyjaciółka Mary, stacjonowała w Liverpoolu i tam ją odwiedziłem w buzującym witalnością i dowcipem ośrodku urodziwych nastolatek.

Idylla się skończyła, gdy stchórzyłem, nie przyjmując wyzwania, by towarzyszyć Mary w dniu jej urodzin w styczniu, i przepłynąć

zatokę morską, aż do widocznej na horyzoncie wyspy.

Gdy zacząłem pracować w Londynie, zaglądałem często do pobliskiego *British Museum*. Tam w czytelni widywałem Christine, świeżo upieczoną absolwentkę *Somerville College* w Oksfordzie. Studiowała po odbyciu służby wojskowej w Bletchley, jako deszyfratorka, dosłużywszy się w wieku 21 lat rangi kapitana. Przychodziła do czytelni od kilku lat i w niej poznała Jerzego Pietrkiewicza. Moje pierwsze z nim spotkanie było wcześniej, bo w 1946 roku, kiedy w mundurze starszego strzelca przyjechałem ze szkockiego obozu, by zwiedzić Muzeum Brytyjskie. Wtedy Pietrkiewicz zaprosił mnie na kawę i przeczytał mi przekłady poezji angielskiej przetłumaczone na język polski do antologii, którą przygotowywał.

Christine po latach opisała swoje pierwsze spotkanie z Pietrkiewiczem o wiele barwniej. W czytelni zauważyła „najprzystojniejszego młodego mężczyznę, jakiego kiedykolwiek widziała, z aureolą czarnych włosów nad wpatrującymi się niebieskimi oczyma i delikatnie zadartym w górę nosem". Młody Beethoven, bo tak go nazwała, także używał biblioteki jako swojej kancelarii. Przychodził punktualnie o dziewiątej. Czytał książki po niemiecku, angielsku, i w różnych innych językach. A Oskara Wilde'a studiował po hiszpańsku.

Po kilku miesiącach zagadnęła go, a on się ucieszył, że mógł coś

wytłumaczyć. „Mężczyźni zawsze mają satysfakcję, kiedy dziewczynę mogą czegoś nauczyć”, zauważyła w autobiografii. Dowiedziała się, że miała do czynienia z polskim poetą pochodzącym ze wsi, który w Warszawie został obwołany polskim Rimbaudem. Pracował nad doktoratem. Studiował na szkockim uniwersytecie w St. Andrews.

Christine poczuła się dumna z takiej znajomości, a on opowiadał jej o poetach: Johnie Donnie, Dylanie Thomasie, Dawidzie Gascoyne, przekładał wiersze pełne aniołów, jezior, polskiego folkloru.

Zaprzyjaźnili się i wkrótce nawiązali romans. Pietrkiewicz miał wtedy dwadzieścia dziewięć lat. Nazwała go we wspomnieniach Jankiem. Kiedy spotykali się na ulicy, szli ku sobie. On zatrzymywał się i otwierał ramiona, ona biegła do niego. Po latach zauważyła: „Nie Janek do niej. Bo taki już jest”.

Christine wnet zmiarkowała, że znalazła się w nowej, poważniejszej sytuacji, poznała miłość, którą nazwała estetyczną, i lękała się, że mogła jej zaszkodzić oziębłość, obawa jakby oboje postawili siebie na piedestale?

Kiedy przyszła dla niej oferta pracy za granicą, skłonna była zapomnieć o studiach i jechać, ale on jej to wyperswadował. Matce komunikowała, że nie wie, czy wyjdzie za Polaka bo jej

tego nie proponował. Oboje byli poprzednio w związkach małżeńskich.

Pietrkiewiczowie zamieszkali przy 9 Oakley Street. Pamiętam, że odwiedziłem ich w tym skromnym mieszkaniu na Chelsea. Christine źle wspominała mało wygodny lokal. Na podłodze w różnych miejscach leżały rekwizyty jakiejś gry wojennej, której zawzięcie się oddawali. Ale nie wszystko było grą. Łapczywie chłonęła wiadomości z literatury europejskiej, a do lektury przepisanej przez uniwersytet, Pietrkiewicz dorzucał teksty swojej predylekcji: Kafkę, Hofmannsthala, ale też Gombrowicza i Choromańskiego oraz Norwida, którego później razem przekładali na angielski i opublikowali.

Te obfite lektury owocowały u niej bujnie na solidnym gruncie podkładu tekstów skandynawskich i anglosaskich. Choć we wspomnieniach przyznaje, że życie z Jankiem było edukacją, domagała się również innej, lżejszej strawy, popularnej i modnej.

Nie wszystko jednak przebiegało harmonijnie. Zdarzały się kłótnie i sprzeczki. Partner zauważył na palcu Christine pierścionek zaręczynowy z brylantem oraz obrączkę z pierwszego małżeństwa. Dla świętego spokoju Christine rzuciła pierścionek dramatycznym gestem do Tamizy.

Kiedy wzięli ślub w urzędzie stanu cywilnego w 1948 roku,

Christine przełożyła obrączkę na prawą rękę zgodnie z polskim zwyczajem ku satysfakcji męża. „Bo taki już jest”, dodała po czasie kwitując zadziwiającą chłopską pazerność ukazującą się nagle spod patyny przykładnej dyplomacji. Wspomina też o jego przesądach i religijności.

W lipcu 1954 roku odbył się nasz ślub z Zofią Poniatowską w kościele na Clapham Common w Londynie. Na Mszy św. zebrała się gromadka gości. Oprócz rodziny panny młodej, Teść był znanym piłsudczykiem, pojawiła się marszałkowa Aleksandra Piłsudska, śpiewał bas Opery Covent Garden, Marian Nowakowski, bo przyjaźniliśmy się z jego żoną, pisarz Jan Bielatowicz, przemówił na przyjęciu, poeta Józef Bujnowski osobiście wydrukował zaproszenia na ślub, stawiła się popularna felietonistka „Dziennika Polskiego” Krystyna Cywińska. Przyszli też Jerzy i Christine Pietrkiewiczowie.

Dziś, zapoznany z zawiłościami ich sytuacji psychicznej, zastanawiam się ,jak ci ostatni odbierali mój ślub i całą ceremonię? Czy był on jakąś prowokacją, czy rodziły się u nich wątpliwości, co do solidności i bezpieczeństwa własnego związku? Czy moja publiczna demonstracja kazała wspomnieć ich nie nagłośniony związek kryjący różne sprzeczności i pułapki. Czy nie stanowił zgrzytu? Był budujący czy niepokoił? A może zapalił jakąś iskierkę mającej się nie spełnić nadziei?

Pietrkiewicz przesadzał z ostrożnością, radził nie dzielić się informacjami, by nie zostały wykorzystane. Nie przyznawać się do porażek. Podejrzewał słowa, a może tylko angielskie słowa?

Rzadko mówił o miłości, napisał po polsku dla niej wiersz „The spelling of love". Nazywał ją kotkiem, ale ona wyczuwała jakieś wykluczenie z sekretnej intymności. Religijność jego była dziwnie poetycka, nie wymieniała Boga, ale Anioły, Świętych, Matkę Boską. Natomiast niczego nie narzucał. Wyznawał taką religijność *a la Greene* i *Waugh*. Christine na wpół godziła się na chodzenie na Mszę z nim co niedzielę, choć uważała się za ateistkę.

Christine skończyła doktorat z angielskiego, a kiedy mąż zapadł na ciężką chorobę w 1956 r., zaczęła pisać pierwszą powieść: "The Languages of Love". Przez następnych dziesięć lat współpracowała jako krytyk z najlepszymi czasopismami Londynu. Wydała też powieści „Sycamore Tree", „The Dear Deceiver" oraz „Out". Były to narracje satyryczno-obyczajowe.

We wspomnieniach przyznała, że istniał w ich związku milczący konflikt. Mąż będąc katolikiem żył w niezgodzie z wiarą przez te wszystkie lata. Zainicjowała więc w Rzymie przewód, by swoje poprzednie małżeństwo, zawarte w kościele anglikańskim, anulować. Przewód trwał kilkanaście lat i kosztował Christine wiele pieniędzy. „Jego wiara była prosta, głęboka i spokojna,

nieobciążona sofistyką autorytetów duchownych”.



Christine Brooke-Rose (pierwsza z prawej) w mundurze WAAF, zanim poszła do Bletchley Park. fot. Harry Ransom Center, University of Texas at Austin.

Christine natomiast zawsze rzucała się w wir wydarzeń. Dziwiła się też, dlaczego mężczyźni robili tyle szumu z powodu seksu. Pamięta, że Pietrkiewicz codziennie potrzebował komplementów, choć sam nimi nie szafował. Łajał żonę, że mało czasu poświęcała toalecie. Raz w polskiej kawiarni w obecności byłej żony, Danuty, zarzucił Christine, że miała nieupudrowany nos.

Skarżyła się, że Polacy mają obsesję na tle polityki. Kiedy skrytykowali pierwsze angielskie powieści męża, radziła mu przerzucić się na inne tematy. Na przedstawieniu „Wesela" Wyspiańskiego Christine wprowadzona już właściwie w tekst musiała wysłuchać głośnego tłumaczenia starego polskiego profesora ze wstydem i przy sarkaniu widowni. Pomyślała, że widocznie niektórzy Polacy doszli do wniosku, że Christine nie zasługiwała na swojego męża. Angielscy znajomi natomiast sądzili, że miała nieodpowiedniego partnera. Po latach zrozumiała jego męczarnie, kiedy musiał się adaptować w życiu zawodowym, pojmowała jego podejrzliwość i tolerowanie arogancji i okazywanie wyższości angielskiej, nic dziwnego, że był uprzedzony i nieraz używał słowa krytycznego „angielski" zamiast po prostu „ludzki".

Christine znała wiele prawd o komunizmie, których nie przyjmowali ludzie na Zachodzie. Niemniej ganiła niecierpliwość Polaków chcących natychmiastowych reakcji politycznych na komunistyczne prowokacje. Apelowała do rozsądku i cierpliwości.

Kiedy wyszła za mąż, obcięto jej stypendium, bo mąż miał odtąd być odpowiedzialny za utrzymanie żony. A on musiał zadowalać się mało płatnymi kursami i uciążliwym poprawianiem maturalnych egzaminów. Miał też długo paszport bezpaństwowca i kłopoty na granicy. Wyjeżdżając na wakacje

także pisali, a wieczorami zabawiali się czytaniem napisanych rozdziałów.

Kiedyś Christine wybrała się sama do Salzburga, a kiedy po powrocie otrzymała fotografie ze zjazdu, naraziła się na podejrzenie i oskarżenie o niewierność. We wspomnieniach zapisała, że to był moment, kiedy po raz pierwszy straciła zaufanie. Mówiło się jeszcze o tym, że razem stanowili odporny czołg, ale mąż pozwalał sobie na flirty. Nie była zazdrosna. Na problemy z seksem polecił jej czytanie Kama Sutry.

Polepszenie warunków materialnych pozwoliło na kupno mieszkania w prestiżowej dzielnicy Hampstead. Pewnego Sylwestra poszli na proszone przyjęcie. Christine poczuła się źle i chciała iść do domu. Mąż flirtował i musiała wrócić sama. Następnego dnia wylądowała w szpitalu. Choroba kosztowała ją utratę nerki. Mimo to Christine stawiła się w Rzymie przed sądem św. Roty. Przyszło anulowanie małżeństwa z Rzymu. Brak dzieci ułatwiał sprawę.

Kupili samochód i nauczyli się prowadzić. Ale destrukcja małżeństwa trwała. Po swoich weekendowych eskapadach mąż pytał ją o kobiece bóle. Pomalutku niszczył jej samopoczucie i szacunek do siebie, strącając przy tej okazji i siebie z piedestału. W rezultacie nastąpiła czasowa separacja. W 1968 r. Christine wyjechała do Paryża na oferowaną posadę, „smutna lecz dumna

ze swej niezależności”.

W autobiografii „In the Scales of Fate” z 1993 roku Pietrkiewicz opowiedział o swoim życiu do 1953 roku uważając za cezurę ten rok wydania swej pierwszej powieści po angielsku. Nie wspomina pierwszego małżeństwa z Danutą Karel. Scenę poznania w czytelni *British Museum* opisuje podobnie. Christine wprowadziła go do angielskiej literatury dziecięcej „Alicji w krainie czarów” i „Misia Puchatka”. Wspominając te lata po czasie i znając ich finał, autor próbuje ostrożnej refleksji. „Miłość ma zawodny i zmienny temperament, kiedy jest się młodym, może uważamy ją za zbyt pewną”.

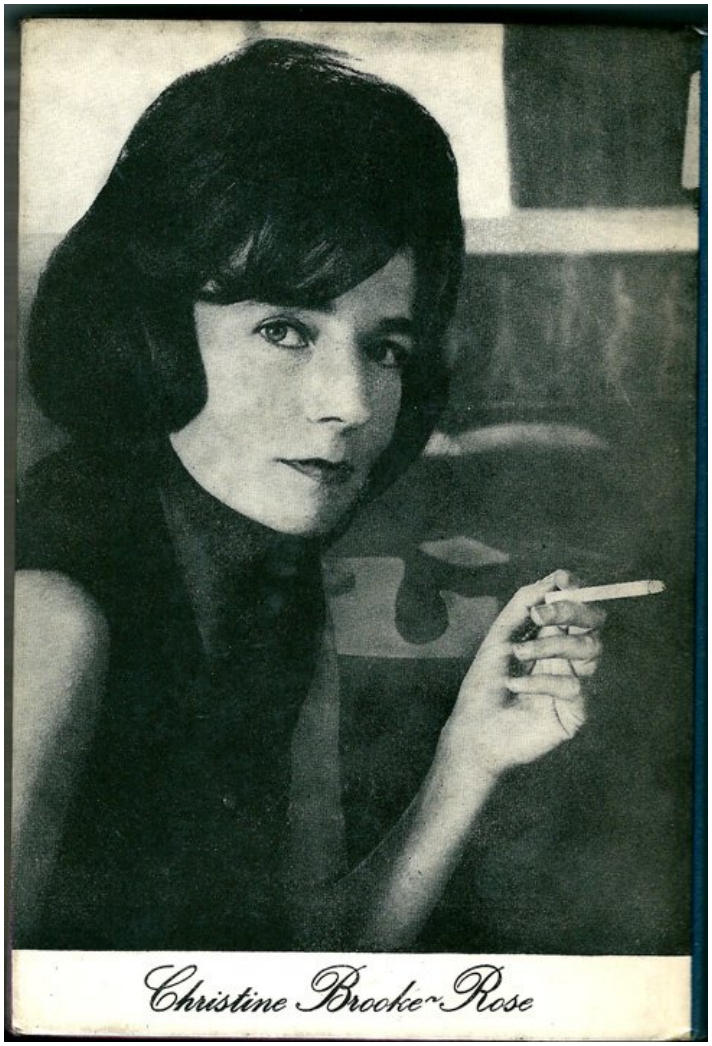
Ale odzywają się też inne nuty. „Popęd erotyczny zachowuje się inaczej, zwłaszcza w średnim wieku, pędzi w nieznajome, które trzeba było wcześniej zbadać”. Po chorobie musiał przejść na dietę. Okazało się, że im bardziej ascetyczna była, tym mocniej fizycznie nalegała na potrzebę Erosa. „To była moja broń na przeżycie i odnowa wiary w życie”. Szukając leku na sytuację wymienił potrzebę… pokory.

Przełom w pisarstwie Christine nastąpił już w 1962 roku w następstwie refleksji po ciężkiej i przewlekłej chorobie. Od tego czasu zaczęła eksperymentować z językiem i formami powieści. Na podparyskim uniwersytecie przyjęła posadę wykładowcy, a potem profesora angielskiej i amerykańskiej literatury i teorii

literackiej. Na emeryturę przeszła w roku 1988 i osiadła w Prowansji.

Wakacje uniwersyteckie pozwoliły jej pisać. W powieści „Such”(1966) opisała doświadczenia astronoma po śmierci opowiedziane w terminologii astrofizyki. W 1984 r. wyszedł „Amalgamemnon” i trzy dalsze powieści traktujące o schyłku humanizmu, o napięciu między faktem, a wyobraźnią, o statusie kobiety wobec tradycyjnej hierarchii.

Swoimi powieściami i esejami krytycznymi zdobyła międzynarodowy rozgłos jako nowatorska pisarka postmodernistyczna. Pisała po angielsku, ale jej twórczość powiązana jest z francuskimi teoriami literackimi. Przełożyła na angielski głośną powieść Alaine’a Robbe-Grilleta „Dans le labyrinthe”. Wypracowała sobie własny styl eksperymentalnej prozy dowodząc, że w ostatecznym rozrachunku fikcja to sprawa języka i nie oddaje rzeczywistości. Stała się autorytetem. Niektórzy krytycy wymieniają ją dziś obok Wirginii Woolf i Gertrudy Stein. Jej proza stawia czytelnikowi wysokie wymagania i wprowadza gęstą aluzyjność.


Christine Brooke-Rose



Christine Brooke-Rose

Pietrkiewiczowi odpowiadało kształcenie i kształtowanie Christine, a ona terminowanie też wysoko ceniła, ale kochała człowieka, a nie Pigmaliona, dzielenie się wiedzą było dla niej jedynie dodatkiem. Bo ona również formowała i dawała z siebie szczodrze latami całymi. Mnie trudno sobie wyobrazić osiem powieści Pietrkiewicza po angielsku bez Christine. Z jej odejściem przestały się już ukazywać. Ona pragnęła równości dwu szanujących siebie nawzajem partnerskich autonomii. A to okazało się niemożliwe.

Ich związek, który obojgu umożliwił wybitne osiągnięcia, nie

doczekawszy się potomstwa, zabiła w końcu nieszczęsna zazdrość, narcyzm i zaborczość.

Otrzymywane na starość telefony od Pietrkiewicza już nie potrafiły zatrzeć rozżalenia Christine, odbierała je bez entuzjazmu, nie czuła w nich żadnej zmiany, relacjonuje je z przekąsem, sarkazmem, może z jątrzącym bólem.

To Eks, poeta polski, angielski profesor i europejski emigrant, telefonuje od czasu do czasu. Dlaczego? Opuszczony 35 lat temu po 22 latach niezwykłego małżeństwa roztrwonionego dla czarnowłosej dziewczyny z mozaikowymi oczami. Wszystko to sprawa menopauzy około pięćdziesiątki ubrana w nierozpoznany przedramatyzowany romans: „Chcę być ubóstwiany”, zawołał kiedyś w ekstazie zanim wyczerpała się cierpliwości żony witającej go z kolejnego romantycznego wypadu. Może znalazł to, czego szukał, medytowała zdziwiona, że nawet w późnym wieku myślał tylko o sobie.

I taki nam jego obraz zostawiła.

Z perspektywy lat Christine wyróżniła jednak jedną wspólną cechę, którą dzielili mimo, że już żyli samotnie, osobno, z wieloma, aczkolwiek różnymi przyjaciółmi, w nieswoich krajach, pisali w obcych językach: – oboje byli do końca suwerenni.

_____

Jerzy Pietrkiewicz na Culture Avenue:

http://www.cultureave.com/nestor-poetow-emigracyjnych-jerzy-pietrkiewicz/
http://www.cultureave.com/arriba-silesia-wspomnienie-o--jerzym-pietrkiewiczu-1916-2007/

Najciekawszy poeta nad Tamizą. Nota o Tadeuszu Sułkowskim

(1907-1960).



Florian Śmieja

Wśród pięknych książek wydanych przez zasłużone wydawnictwo emigracyjne Oficyna Poetów i Malarzy Czesława i Krystyny Bednarczyków, znalazły się dwa tomy poezji Tadeusza Sułkowskiego: „Tarcza” (1961) i „Dom złoty” (1961). Ten cały bez mała dorobek przedwcześnie zmarłego poety emigracyjnego nie mógł ukazać się za jego życia z powodu ustawicznych wahań i niekończącego się cyzelowania tekstów przez autora oraz

jakiegoś niedobrego fatum. W liście do Henryka Elzenberga z 21.2. 1966 roku Michał Chmielowiec powiedział o skromnym, mało afiszującym się Sułkowskim

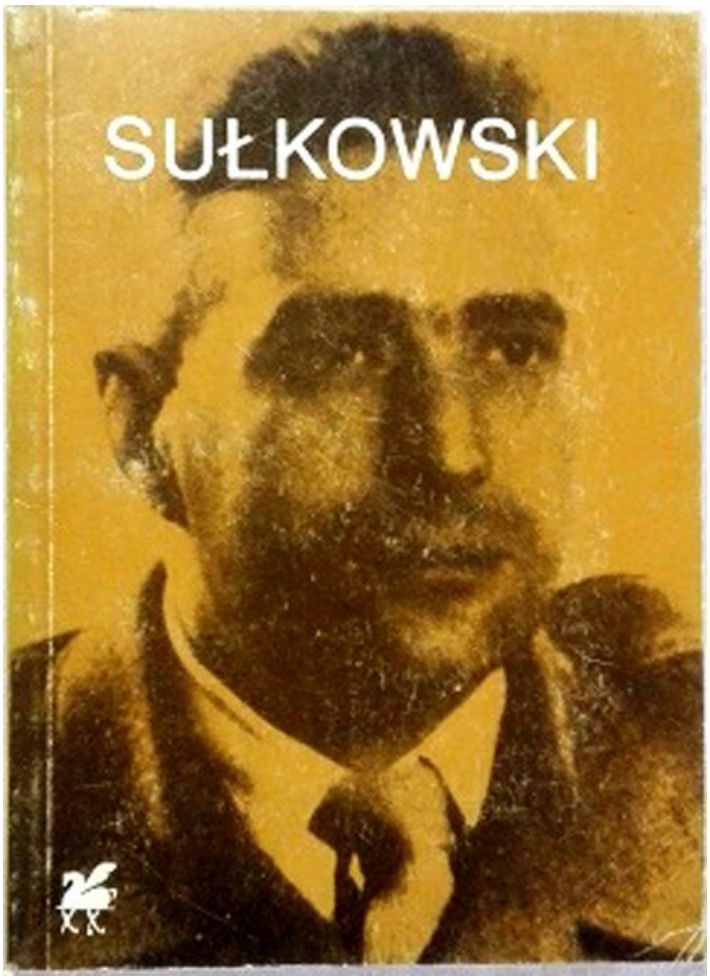
> […] to był najciekawszy poeta polski nie tylko nad Tamizą, ale i nad innymi zagranicznymi rzekami.

Otoczony książkami i słownikami Sułkowski żył samotnie w londyńskim Domu Pisarza, mając z nim wiele kłopotu. Był jego zarządcą, ale także sprzątającym, odnawiał go i użerał się z niełatwymi, a często złośliwymi lokatorami. Do tego był człowiekiem nazbyt miękkim i mało zaradnym. Ledwo wiązał koniec z końcem, dorabiając niekiedy audycjami radiowymi, a częściej pracą fizyczną. Nieraz widziałem go pracującego w drukarni Oficyny pod kolejowym mostem Waterloo.

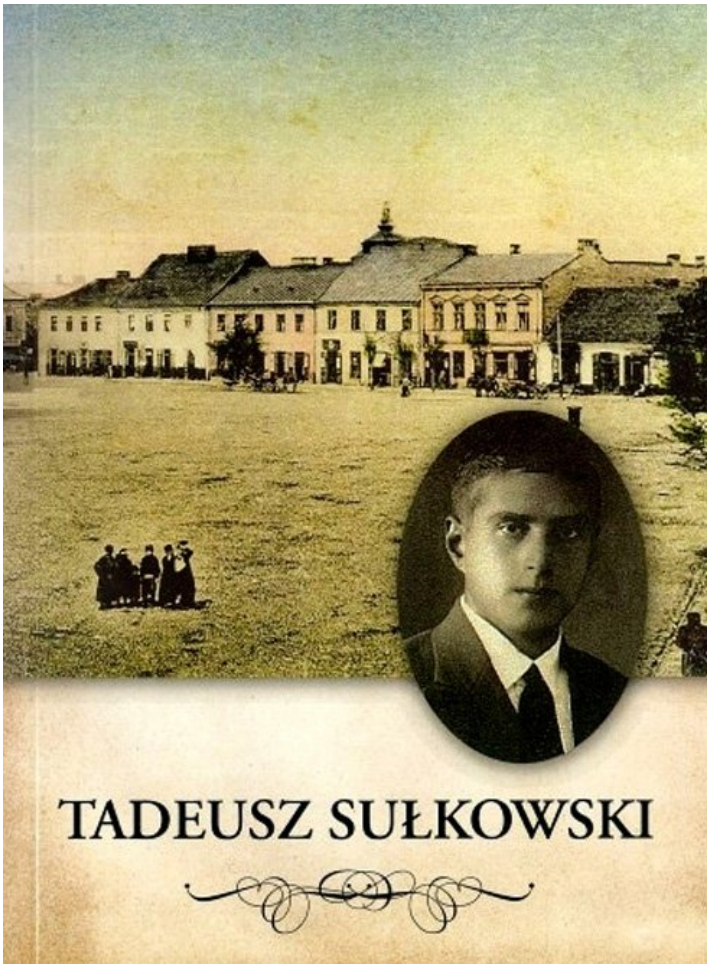
Raz spotkałem go w kinie po seansie „Popiołu i diamentu”. Ten cichy i łagodny człowiek był poruszony do niepoznaki. Buchał od niego jakiś żar, czuć było niezwyczajny przypływ witalności. Przejęty był dramatem życia „tam”, w Polsce. Zaimponowała mu jego drapieżność. „Tu naszemu życiu brakuje kantów. Wszystko jest zaokrąglone, wszystko uładzone i martwe” – tłumaczył. Niemniej do Polski nie wrócił, choć na emigracyjnym podwórku nie umiał sobie znaleźć właściwego miejsca. Był duszą i motorem niejednej literackiej imprezy i szczodrze szafował swoim czasem

i radą, Sprzyjał młodym stawiającym pierwsze kroki pisarskie. Sam doświadczyłem jego wielkoduszności, kiedy biedziłem się nad przekładem wyboru prozy poetyckiej Juana Ramóna Jiméneza „Srebroń i ja" drukowanym później w Oficynie Poetów i Malarzy. Odwiedziłem go wtedy kilkakrotnie w jego pokoju i czytałem mu hiszpańską historię o osiołku srebrnej maści zasięgając jego opinii w niepewnych miejscach. Popijaliśmy kawę, więc raz przyniosłem mu całą jej puszkę. Choć biedował, prezentu nie przyjął. Tak jak w wypadku innych młodych ludzi, interesował się również moją pracą literacką, zachęcał do kontynuowania jej, cieszył się z sukcesów, a własne, znakomite teksty trzymał i rozstać się z nimi nie potrafił, mimo częstych zabiegów znajomych, którzy nalegali na ich wydanie drukiem. W rezultacie debiutował na emigracji dopiero po śmierci. Na ponawiane prośby przyjaciół w końcu zebrał całą swoją skąpą twórczość, aby w drukowanej formie świadczyła o poecie i o jego szlachetnych próbach nadania kształtu nurtującym go wizjom nowego ładu mającego zapanować po spustoszeniach wojny. Pisał:

> Wszyscyśmy biedni, złaknieni dobrego słowa i poczucia, że samiusieńkim środkiem nas samych biegnie oś tego świata i ziemi.



Tadeusz Sułkowski, Poezje wybrane, 1990 r.



Tadeusz Sułkowski, Maria Dąbrowska – Listy 1943-1959, Skierniewice, Miejska Biblioteka Publiczna, 2007 r.

Nie hołdował modnym poetykom. Był człowiekiem mozolnie wydobywającym szczery kruszec na papier, który miał nabrać wagi manifestu. W wierszu „Dom złoty” czytamy:

> Pasterzu, pasterzu ludzi, badaj miłość i ziemskie zwierzęta,
>
> Aż wyjdzie w słonych promieniach jak wyspa koralowa z wody
>
> Nowy system kopernikański, który zatrzyma łzę, bo łza

> ciężka,
>
> A poruszy rękę człowieka, by z ziemi uczynił dom złoty.

Pogrzeb Sułkowskiego na podmiejskim cmentarzu Golders Green był ubogi i smutny. Jego grób zapoczątkował tam rodzimy panteon, bo kiedy kilka lat później stałem nad otwartą mogiłą Kazimierza Wierzyńskiego, obok widniały już krzyże grobów Tadeusza Sułkowskiego i Zygmunta Nowakowskiego.

Niespodziewanie, na udar serca, odszedł cichy, dobry człowiek. Ale po sobie pozostawił szlachetną poezję okupioną klęską, jak sam powiada w proroczym epitafium:

> *Na wadze położą garstkę prochu.*
>
> *Cóż do tego prochu pisanie dorzuci?*
>
> *Ptaku sztuki odfruń,*
>
> *Jeśli mam tylko tyle ważyć, ile dźwięk lutni.*
>
> *Tu w porządek obraca się to nawet, co upadło*
>
> *I w piękne gruzy rzeźby kamień klęski,*

> *Który we wnętrznościach utworu leży jako światło,*
>
> *Ale od którego popiół po mnie będzie ciężki.*

Wystawa malarstwa Zofii Kobylińskiej-Olszewskiej w Domu Polonii w Krakowie

Fundacja Polskiej Sztuki Emigracyjnej (1939-1989) – Polish Artists of the World zaprasza na wystawę prac Zofii Kobylińskiej-Olszewskiej, artystki tworzącej w Londynie, zmarłej w 2011 r. Wystawę można zobaczyć od 12 kwietnia do 6 maja 2018 roku w

Domu Polonii w Krakowie. Jak poinformowała prezes Fundacji, pani Henryka Milczanowska, Fundacja stała się beneficjantem kolekcji obrazów Zofii Kobylińskiej-Olszewskiej. Zbiór liczący ok. 160 obrazów przekazała siostrzenica artystki Kris Havard. Wszedł on w skład wciąż poszerzanej kolekcji sztuki polskich artystów żyjących na emigracji. Po Krakowie, wystawa malarstwa Zofii Kobylińskiej-Olszewskiej będzie pokazana w kilku innych galeriach w kraju.

Zofia Kobylińska-Olszewska urodziła się w Warszawie i tu przeżyła początek wojny. Wraz z rodziną trafiła do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, a później do Ravensbrück. Po wyzwoleniu, okaleczona fizycznie i psychicznie, w ciężkim stanie trafiła pod opiekę medyczną brytyjskiej filantropki Sue Ryder. Rozpoczęła nowe życie w Anglii od studiów w Polskiej Szkole Malarstwa pod kierunkiem Mariana Bohusza Szyszko.
Jej malarstwo, zakorzenione w przedwojennej tradycji kolorystów, posiada głęboką warstwę emocjonalną. Artystka tworzyła dużo i do końca swojego życia, traktując malarstwo jako formę terapeutycznej edukacji, jedynej możliwości zapomnienia o czasach wojny.

Organizatorzy wystawy:

POLISH ARTISTS IN THE WORLD
Fundacja Polskiej Sztuki Emigracyjnej 1939-1989

STOWARZYSZENIE „WSPÓLNOTA POLSKA"



Pejzaż, płótno, olej

ZOFIA KOBYLIŃSKA - OLSZEWSKA

wystawa malarstwa

12.04. 2018 - 06.05. 2018 / Galeria Dom Polonii, Kraków



Zofia Kobylińska-Olszewska

Polska malarka urodzona w Warszawie, działająca na emigracji w Anglii. W czasie wojny była więźniarką w niemieckich obozach koncentracyjnych, kolejno w Oświęcimiu i Ravensbrück. Po wyzwoleniu przez wojska alianckie obozu w Ravensbrück przedostała się do Paryża, a następnie do Rzymu. Stamtąd, wraz z innymi Polakami, wyjechała do Londynu.

W 1947 roku została rezydentką w Anglii i zamieszkała w Londynie. Studiowała w Polskiej Szkole Malarstwa, pod opieką profesora Mariana Bohusza Szyszki. W 1964 roku otrzymała dyplom Studium Malarstwa Sztalugowego i Grafiki Użytkowej i rozpoczęła własną drogę twórczą, z licznymi sukcesami wystawienniczymi.

Zofia Kobylińska-Olszewska zmarła w 2011 roku, pozostawiając w testamencie kolekcję swoich obrazów najbliższej rodzinie, w osobie Krystyny Havard. Obrazy Artystki znajdują się także w prywatnych kolekcjach w Austrii, Niemczech, Wielkiej Brytanii, Szwajcarii, Włoszech, Polsce i USA.

Obecna wystawa Galerii Dom Polonii w Krakowie prezentuje część kolekcji rodzinnej, przekazanej w 2017 roku w darze Fundacji Polskiej Sztuki Emigracyjnej 1939-1989.

Fundacja Polskiej Sztuki Emigracyjnej 1939-1989
oraz Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”,
Galeria Dom Polonii w Krakowie

mają zaszczyt zaprosić na

WERNISAŻ MALARSTWA

ZOFII KOBYLIŃSKIEJ-OLSZEWSKIEJ

12 kwietnia 2018 r. (czwartek) godz. 18.00
Galeria Dom Polonii w Krakowie
ul. Rynek 14



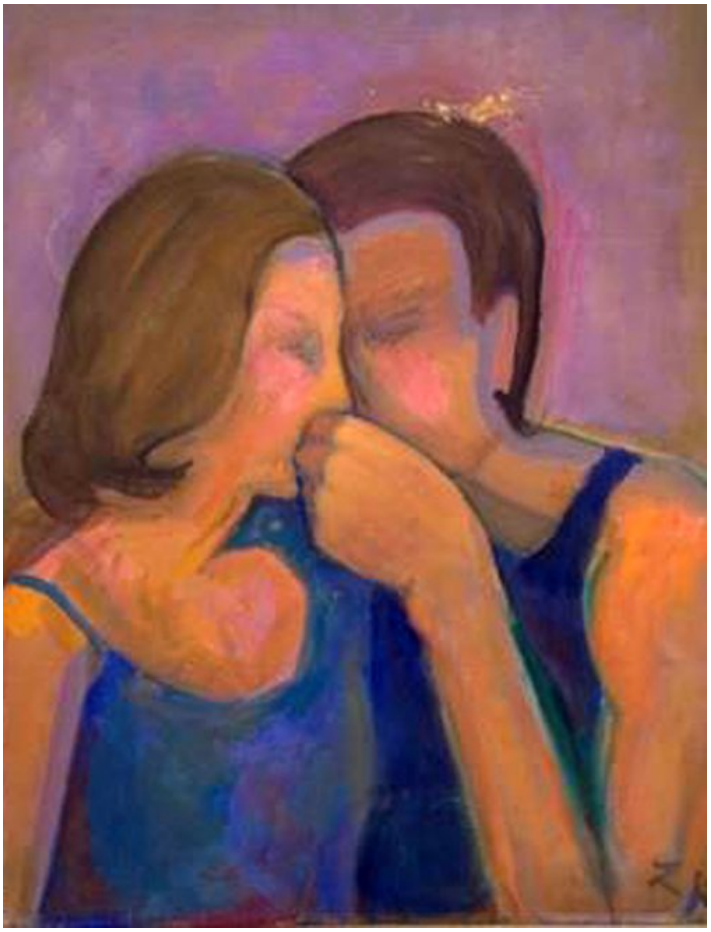
Dom Polonii w Krakowie, Rynek Główny 14.

Malarstwo Zofii Kobylińskiej-Olszewskiej















Gorzki urodzaj. Malarstwo

Mieczysława Lurczyńskiego.



Mieczysław Lurczyński

Iwona Pleskot

Z inicjatywy londyńskiego POSK-u (Polski Ośrodek Społeczno – Kulturalny) przygotowaliśmy wystawę, która pozwoli przyjrzeć się bliżej twórczości jednego z ciekawszych polskich malarzy emigracyjnych działających w II poł. XX w.

Mieczysław Lurczyński – malarz, poeta, eseista, więzień obozów koncentracyjnych. Artysta o biografii tyle bogatej, co i tragicznej. Gruntownie wykształcony, znający biegle kilka języków obcych, wybitnie zdolny. Przyjaźnił się z Wojciechem Kossakiem, Czesławem Miłoszem i Leopoldem Staffem. Żołnierz AK, aresztowany w 1943 r. i wywieziony do Buchenwaldu. Na emigracji spędził całe życie, do Polski przyjechał tylko raz – w 1968 r. W swoim paryskim mieszkaniu pozostawił gigantyczną spuściznę malarską, która w całości, zgodnie z wolą artysty, trafiła do POSK-u w Londynie. Zaledwie ułamek tej kolekcji prezentujemy na naszej wystawie, przy okazji odkrywając niezwykłą biografię twórcy…

Gdy zaczynaliśmy pracować nad wystawą prac Lurczyńskiego w Polsce problematyczną kwestią, która przed nami stanęła była znikomość danych biograficznych. Jak to się stało, że w naszej literaturze tematu jego nazwisko praktycznie nie występuje? Szczątkowe i lakoniczne informacje udało nam się jednak uzupełnić dzięki zaangażowaniu koordynatorki wystawy, vice dyrektor działającej w POSK-u galerii – Elviry Olbrich. Pozyskane materiały źródłowe, katalogi wystaw, publikacje dramatów i

tomików poezji autorstwa Lurczyńskiego sprawiły, że uzupełniliśmy artystyczne *dossier* twórcy o istotne wydarzenia, ekspozycje czy aktywności zawodowe.



Mieczysław Lurczyński

Był niezwykle płodnym artystą. Malował dosłownie wszędzie. Na targach, w parkach, na ulicach, w podróży. Czerpał ogromną radość z pracy w plenerze, jego obrazy przepełnione są światłem. Tworzył na płótnach, tekturach, sklejkach. Malował

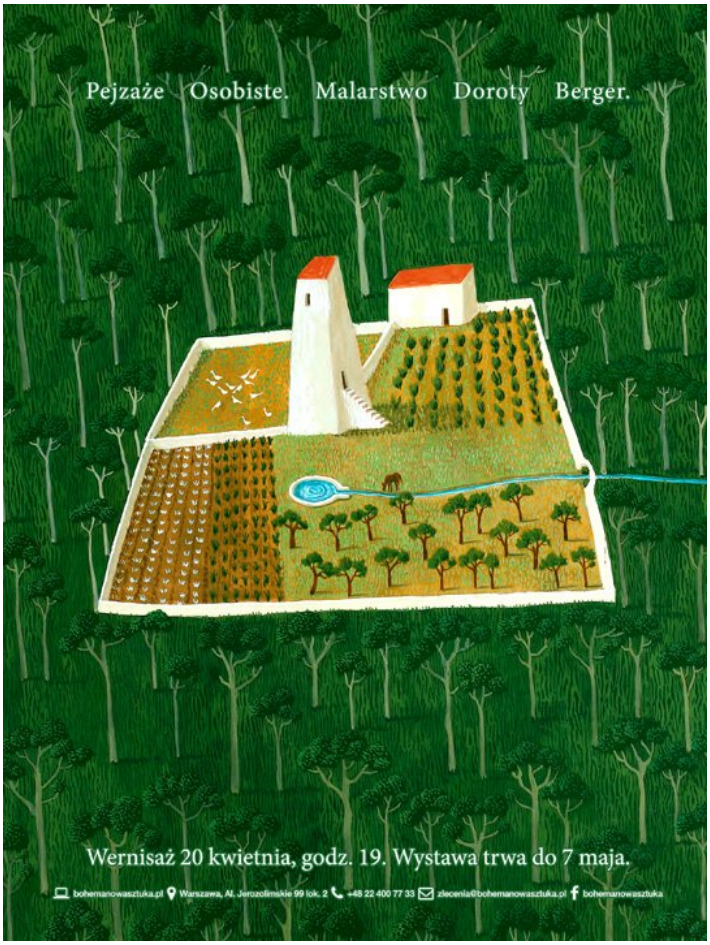
szybko i sprawnie, chwytając wrażenie i ulotność naturalnego światła, utrwalając chwilę. Jego malarstwo to hołd składany postimpresjonizmowi i fowizmowi, z charakterystycznymi czystymi kolorami oraz energiczną, konturową, czarną liną. Mistrzowsko dokumentował sceny rodzajowe, zwłaszcza te z codziennego życia Arabów czy podpatrzone na targach w małych, francuskich miasteczkach. Uwodziła go architektura Maroka i południa Hiszpanii, egzotyczna roślinność, intensywność tamtejszego koloru. Jego twórczość malarska stała w opozycji do literackiej, w której stale, wręcz obsesyjnie odtwarzał przeżycia obozowe.

Będąc wrażliwym dokumentalistą, ze szczegółami odtwarzał nie tylko zbrodnicze działania okupanta, lecz także wewnętrzne życie obozowe i relacje między więźniami. Traumatyczne przeżycia z czasów okupacji utrwalone w dramatach „Janka" czy „Stara gwardia" spowodowały, że poszukiwał wolności i ukojenia psychicznego w malarstwie, które złagodziłoby każdy ból. Twórczość Lurczyńskiego z pewnością zasługuje na dokładne zbadanie i monograficzne opracowanie, niemniej jednak już te informacje, które udało nam się odszukać czy zgromadzić znacznie przybliżą polskim kolekcjonerom jego sylwetkę.

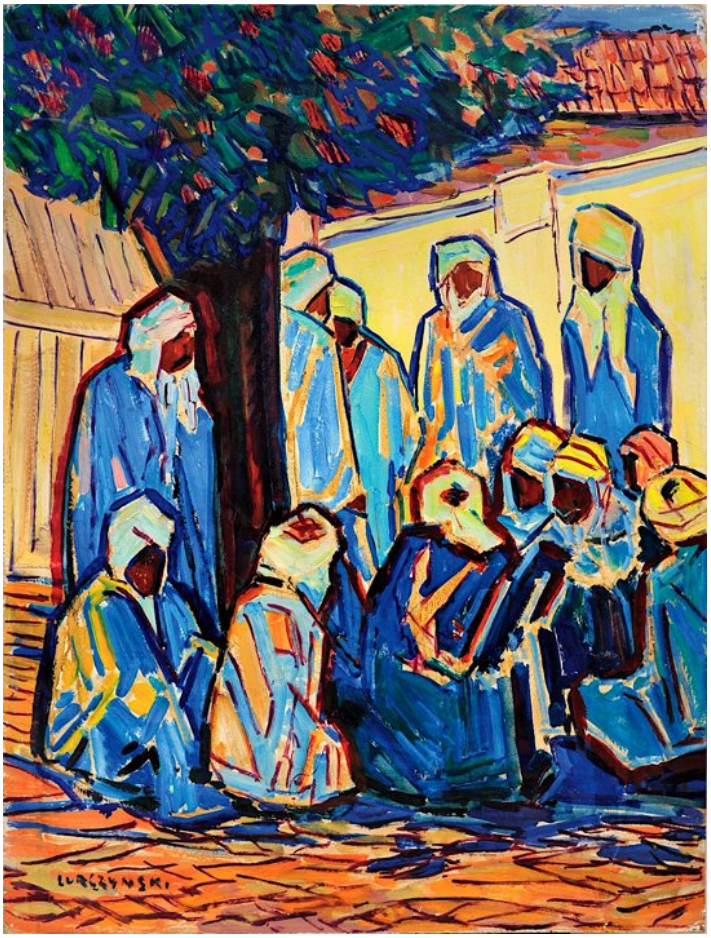
Wystawa „Gorzki urodzaj" to pierwsza wystawa prac artysty w Polsce od czasów międzywojnia. W marcu tego roku minęło 75 lat odkąd artysta opuścił ojczyznę i równo

50 lat odkąd, w 1968 r., przyjechał do Polski z jedyną w swym powojennym życiu wizytą. Wystawa zakończy się aukcją, z której dochód zostanie przeznaczony na działalność POSK-u w Londynie.





Katalog wystawy



Mieczyslaw Lurczyński

Bohema Nowa Sztuka Dom Aukcyjny i Galeria

oraz

Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny w Londynie

zapraszają na wyjątkową aukcję dzieł Mieczysława Lurczyńskiego, kończącą wystawę „Gorzki urodzaj”, 19 kwietnia 2018 r. o godzinie 19.00.

Dochód z aukcji przeznaczony jest na wsparcie Galerii Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie.

Bohema Nowa Sztuka Dom Aukcyjny i Galeria

Warszawa, Al. Jerozolimskie 99 lok. 2

+48 22 400 77 33
zlecenia@bohemanowasztuka.pl
bohemanowasztuka.pl
facebook.com/bohemanowasztuka

Mieczysław Lurczyński (St. Petersburg 1907 – Paryż 1992)



Mieczysław Lurczyński

Malarz, poeta, eseista, więzień obozów koncentracyjnych. Urodzony 14 grudnia 1908 r. w St. Petersburgu w polskiej rodzinie urzędniczej, która została w 1905 r. deportowana do Rosji, a w 1909 r. powróciła do Warszawy. Lurczyński ukończył Szkołę Nauk Politycznych w Warszawie, a następnie tutejszą Akademię Sztuk Pięknych. Między 1930 a 1939 r. jego obrazy były wystawiane w wielu polskich galeriach, między innymi w prestiżowej warszawskiej Zachęcie (1934, 1937). Przyjaźnił się z Wojciechem Kossakiem i razem z nim wystawiał swoje prace w galerii w Juracie u innego artysty, Poznańskiego, w jego willi przy ul. Międzymorze 3, która w latach 30-tych była prężnym ośrodkiem kulturalnym na Helu.

W tym samym czasie zajął się pisaniem poezji. W 1937 r. wydał cykl wierszy pt. „Judasz", a w 1938 r. „Pieśni buntownicze". Podczas okupacji należał do ZWZ, potem do AK (pseud. Jan Kozłowski). Współorganizował tajne wieczory poezji, w których udział brali Cz. Miłosz czy L. Staff. W 1942 r. ukrywał się w podwarszawskiej miejscowości Pawłowice. Do stolicy wrócił w lutym 1943 r. i prawie natychmiast został aresztowany przez Gestapo. Został więźniem politycznym na Pawiaku i w połowie marca przetransportowano go na Majdanek, a stamtąd dalej do Buchenwaldu. Dostał numer obozowy #12243. W pierwszych miesiącach pracował w kamieniołomie przy przeciąganiu metalowych wagonów oraz wyrąbywaniu skał. Do Buchenwaldu dochodziły listy od L. Staffa, który nieustannie wspierał

Lurczyńskiego, pogrążonego w zwątpieniu, otępieniu i chorobie.

W lutym 1945 r. Lurczyński został przeniesiony do SS Komando in Escherhausen, gdzie dzięki umiejętnościom językowym postał tłumaczem. W marcu 1945 r. podczas ewakuacji obozu Lurczyński uciekł z wagonu i udał się w kierunku Hanoweru. Po zakończeniu wojny został na emigracji i osiedlił się w Hanowerze, gdzie współtworzył Wydawnictwo Związku Wychodźctwa Przymusowego. Zaczął intensywnie wydawać wszystko co napisał w Buchenwaldzie, czasem pod pseudonimem Jan Kozłowski, a także tłumaczenia Puszkina czy Poe i literaturę polską. Opublikował wówczas po raz pierwszy swój najbardziej znany dramat poruszający tematykę holokaustu zatytułowany „Stara gwardia".

W Niemczech intensywnie malował, miał wystawy indywidualne w Braunschweig, Monachium, Meppen, Bramsche. W 1947 r. brał udział w międzynarodowym festiwalu malarstwa w Edynburgu. Poza malarstwem pisał krótkie opowiadania, nowele, poezje, sztuki teatralne. Jego utwory były drukowane w polskich pismach literackich we Francji, Anglii, Niemczech i USA. W 1949 r. za namową przyjaciela Stanisława Eleszkiewicza przeniósł się na stałe do Paryża, gdzie mieszkał i tworzył aż do śmierci w 1992 r. Został członkiem „Societe Historique et Litteraire" oraz „Societe des Artistes Independants". Przyjaźnił się z Władysławem Czartoryskim i Elisabeth York, którzy chętnie

nabywali jego prace do swojej kolekcji. Publikował w paryskiej „Kulturze”.

W 1968 r. jedyny raz przyjechał do powojennej Polski. Głośnym echem wśród paryskiej emigracji odbił się jego tekst „Notatki z podróży po Polsce” („Kultura” 1969, nr 1-2, s. 143.), w którym dosadnie, piętnując patologie i nie szczędząc szczegółów opisał życie społeczno-polityczne w Polsce. Wystawiał regularnie w Paryżu (w galeriach: La palette Bloue, Atelier, Arcanes), Lille, Roubaix, Nancy, Rouen, Wersalu, Londynie. Pokazywał tam prace malowane w Algierze, Hiszpanii, Maroku, Szwajcarii i na południu Francji w Prowansji. Obok malowniczych pejzaży i wedut, fascynował go świat arabskich jarmarków i codziennego życia. Tematem, do którego wciąż wracał był Don Kichot, będący dla artysty symbolem dramatu życia człowieka oraz jego gorzkich rozczarowań.

Wykorzystane materiały pochodzą z katalogu wystawy, przygotowanego przez Bohema Nowa Sztuka Dom Aukcyjny i Galeria.

Wypowiedź wicedyrektor galerii POSK – Elviry Olbrich w programie telewizyjnym Halo Polonia.

http://halopolonia.tvp.pl/36831363/16042018-aukcja-na--rzecz-polskiego-osrodka-spolecznokulturalnego-w-londynie

Galeria



Mieczysław Lurczyński



Mieczysław Lurczyński

Życie

nie tylko własne. Tadeusz Walczak (1924-2003).



Florian Śmieja

Jak wspomina w swojej autobiografii "Życie nie tylko własne" Tadeusz Walczak, spotkaliśmy się w Gimnazjum i Liceum im. Juliusza Słowackiego w Szkocji w grudniu 1945 roku w powojskowym obozie w małej miejscowości Bridge of Allan koło miasta Stirling. Tam to zawędrowała perypatetyczna szkoła z Crieff a przedtem z Glasgow. W nie najszczelniejszych barakach tzw. „beczkach śmiechu" zaczęliśmy razem uczęszczać do pierwszej klasy liceum humanistycznego. Uczniowie tej szkoły tworzyli bardzo mieszane towarzystwo złożone z żołnierzy, marynarzy, lotników i garści cywilów, oficerów, szeregowców, maruderów i kombatantów.

Nasi wykładowcy pracowali z wielkim zapałem niejednokrotnie potrafiąc z surowego materiału wydobyć niespodziewane rezultaty. Łacinnik na klasówkach otrzymywał tłumaczenia łacińskich tekstów w formie rymowanych odpowiedzi, względnie pisanych staropolszczyzną czy też polskim heksametrem. Gorliwość tę poświadczyło urządzenie wieczoru poświęconego Wergilemu p.t. „Nasz przyjaciel Maro", wzbogaconego obok istniejących, przekładami uczniów.

Wśród pedagogów wielkim mirem cieszył się Eugeniusz Wietrzny, natchniony historyk oraz sarkastyczny polonista Czesław Bobolewski, ogromnie wymagający, chyba sfrustrowany brakiem kompetentnych rozmówców i piszący samotnie z mozołem skrypt poetyki, a palący się równocześnie do

odkrywania wśród swoich uczniów literackich talentów i sekundowania z oddaniem ich rozwojowi.

Latem 1946 roku szkołę przeniesiono dalej na północ nad zatokę Gareloch do miejscowości Garelochhead. Wysoko na zboczach schodzących do fiordu, w którym zakotwiczone stały duże jednostki Królewskiej Marynarki, znane nam już, blaszane baraki powitały chętnych do nauki uczniów, którzy tam mieli kończyć drugą klasę licealną i zdawać egzamin dojrzałości z pobliskim, legendą owianym jeziorem Lomond, za plecami.

W powielanym miesięczniku "Nasze Sprawy" próbowali swoich sił adepci twórczości dziennikarskiej czy zgoła literackiej. Grupy dyskusyjne roztrząsały interesujące tematy, miłośnicy teatru pokusili się o znakomite wystawienie "Dożywocia" Aleksandra Fredry z niezapomnianą kreacją Rózi przez Mieczysława Cudaka.

Z Tadziem zamieszkałem w tym samym baraku, siedziałem w klasie na tej samej, ostatniej ławie. O ile dobrze pamiętam, wcale się nie przechwalał przebytym szlakiem. Jako piętnastoletni chłopak został w lutym 1940 roku deportowany z rodziną z Wołynia pod Archangielsk, ale zdołał z wojskiem gen Andersa wyjechać do Iranu i przez Irak i Palestynę dostać do Egiptu. Stamtąd w składzie kompanii podchorążych popłynął do Afryki Południowej. Eskortując następnie do Anglii jeńców włoskich na statku "Laconia" został przez niemiecką łódź podwodną

storpedowany. Po kilku dniach dryfowania po Atlantyku doczekał się przybycia francuskiego krążownika „Gloire”. Wzięty do niewoli wraz z innymi rozbitkami dowieziony został do Casablanki i osadzony w obozie jeńców w Maroku. Kiedy dwa miesiące później wylądowali tam Amerykanie, uwolniwszy obóz przetransportowali Polaków do Wielkiej Brytanii. W składzie I Dywizji Pancernej gen. Maczka znalazł się później we Francji, ale raniony w walkach w Belgii po konwalescencji wrócił do Szkocji na podchorążówkę w Crieff, a następnie zapisał się do Gimnazjum Słowackiego.



Szkocja. Pierwszy z lewej w dolnym rzędzie – Florian Śmieja, w środku tuż za profesorem Wietrznym – Tadeusz Walczak, fot. F. Śmieji.

Dr Roman Szajowski, nasz polonista, starał się nam jak mógł przedmiot swój uatrakcyjnić. Nie zawsze odnosił sukcesy. Wiedząc, że redaguję obozowy miesięcznik, patrzył na mnie łaskawszym okiem z czego i Tadzio korzystał. Nie raz zresztą celnie mu podpowiadałem.

Bardzo dobrze obaj opanowaliśmy język angielski. Z tej przyczyny, jako dwaj reprezentanci I Korpusu ze Szkocji, Tadzio i ja pojechaliśmy na kurs instruktorski do angielskiego Welbeck Abbey, arystokratycznego pałacu, gdzie czasowo rozlokował się British Army College nr 2. Stara posiadłość sięgająca dwunastego stulecia po grabieży za czasów Henryka VIII pobudowała się w innym stylu, ale dopiero w dziewiętnastym wieku stała się sławna a raczej notoryczna, kiedy dziwak czy szalony książę Portlandu wziął się do gigantycznych robót ziemnych, do budowania ogromnej podziemnej sali balowej, ogrzewanego ogrodu i kilkukilometrowych podziemnych tuneli, by mógł incognito jeździć swoim powozem. Majątek miał piękne tereny, lasy, ogrody i stawy. Na jego łąkach rozgrywano rytualne mecze cricketa w tradycyjnych jasnych flanelach. W głównym budynku znajdowały się biura, salę balową w podziemiu ozdabiała imponująca galeria obrazów.

Ten ośrodek szkoleniowy, a właściwie przeszkoleniowy, miał za zadanie ułatwić demobilizowanym kombatantom przejście do życia cywilnego. Zaskakujący dla nas był już sam regulamin: do

południa, do godziny dwunastej, obowiązywał ścisły rygor wojskowy i skrupulatne respektowanie hierarchii. Na uderzenie zegara zrywaliśmy z głowy furażerki, wkładali ręce do kieszeni i nie dostrzegali żadnych szarż.

Kwaterowaliśmy z innymi Polakami w osobnym baraku. Rano toczyliśmy boje z Anglikami, którzy nam robili wczesną pobudkę i przegląd kwater, ale my, choć na kursie dla instruktorów języka angielskiego, udawaliśmy, że angielskiego nie rozumiemy i ociągaliśmy się z wstawaniem ku bezsilnej furii budzących. Dopiero w ostatnim dniu, dniu wyjazdu, zaskoczyliśmy kompletnie angielskiego sierżanta, który wszedłszy do baraku, by nas groźnie budzić, zastał całe towarzystwo na nogach z wzorowo posłanymi łóżkami.

Tadzio w swoim eleganckim, podszykowanym mundurze kaprala podchorążego I Dywizji Pancernej z czarną patką (jak mówiliśmy, żałobą po utracie koni) udzielał się towarzysko praktykując język, chodził na tańce do okazałej podziemnej sali balowej, grał w tenisa, łatwo dawał się kusić bliskiemu życiu szczęśliwego cywila. Miał już wtedy piękny cywilny garnitur, który nam pożyczał, kiedy robiliśmy fotografie, czy musieliśmy się gdzieś na mieście pokazać.

Naszymi instruktorami byli wytrawni wykładowcy i instruktorzy brytyjscy oraz dwóch Polaków. Demonstrowali nam najnowsze,

wypróbowane metody uczenia, dynamicznej ingerencji słownej, ustawicznego praktykowania, kompletnego wchodzenia w atmosferę dyskursu, posługiwania się pomocami. Po intensywnym szkoleniu nastąpiły z kolei nasze popisy i demonstracje nauczonych umiejętności. Pamiętam, jak mnie kazali uczyć formowania zdań podrzędnych i dokładnie proceder objaśniać grupie polskich kucharzy i tzw. „ciurów obozowych", którzy nie mieli zielonego pojęcia o budowaniu zdań w jakimkolwiek języku.

Obaj ukończyliśmy kurs pomyślnie, a wróciwszy do oddziałów, poszliśmy różnymi drogami. Jako funkcyjny sierżant-instruktor znalazłem się w końcu w Aberdeen w centrum szkolenia rybaków dalekomorskich. Fama głosiła, że rybacy dobrze zarabiają i szybko mogą oszczędzić potrzebne na studia pieniądze. Może przeczuwałem już wtedy, że zegarmistrzem nie będę, mimo bawienia się w reperowanie zegarków ku uciesze współmieszkańców baraku, łącznie z Tadziem, i że niebawem w morzach zabraknie dorsza, bo zacząłem gorączkowo szukać jakiejś mniej drastycznej alternatywy. Po wielu wysiłkach uśmiechnęło się do mnie szczęście. Udało mi się zakwalifikować na studia humanistyczne do południowej Irlandii w miejscowości Cork.



Tadeusz Walczak

Tadzio natomiast studiował ekonomię w Londynie. Obaj zgłosiliśmy się do egzaminu konkursowego, ja go nawet zdałem z wysoką lokatą, ale w końcu przyjęto innych. Mnie tłumaczono, że oficerowie, że zasłużeni, ranni, że jestem młody, mogę jeszcze poczekać. Niepocieszony, nie rozumiałem wtedy błogosławieństwa tej odmowy. Cóż bym ja robił w życiu z ekonomią?

Co innego Tadzio. On miał smykałkę do interesu. Zaczęło się niemrawo. Pamiętam jego sklep prowadzony z żoną Reginą i pierwsze transakcje. Potem zakładał różne firmy. Handlował azbestem. Ustawiło go w końcu szkło, a upadek PRL-u umożliwił sensowne kontakty z Polską. Miał ogromną satysfakcję, że mógł współpracować z rodakami i pomagać krajowi w godzinie próby.

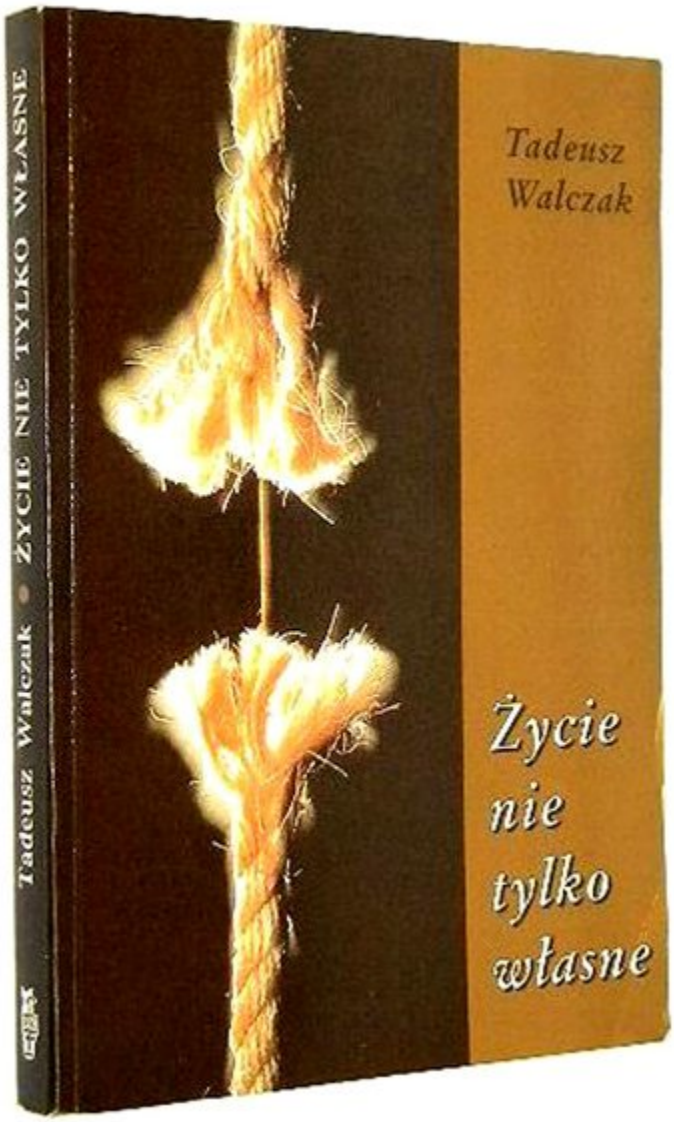
Międzynarodowe sukcesy handlowe i specyfika firmy wymagały częstych i dalekich podróży. Tadzio był wielokrotnie w Chinach obserwując z bliska dynamikę rozwoju tego niezwykłego kraju. Będąc w Turcji zainteresował się Adampolem, polską osadą założoną przez Adama Czartoryskiego w 1842 roku. Pisze o niej z melancholią obserwatora posiadającego wiedzę historyczną, oglądającego ostatki szacownej inicjatywy, ofiarę nieubłaganego przemijania.

Jeszcze jedną jego niezwyczajną wyprawę trzeba wymienić: odwiedziny po latach posiołka Jeluga niedaleko Kotłasu. W 1993 roku pojechał szukać śladów pobytu w miejscu, do którego w 1940 roku wraz z rodziną wywieziony został na leśne roboty. Zobaczył jeszcze resztki baraków i spotkał niedobitki Polaków, którzy utknęli na tej nieludzkiej ziemi, utracili swój język, lecz zachowali mglistą pamięć o zsyłce i nieosiągalnej ojczyźnie.

W czasie swoich częstych podróży do Polski zajechał do Częstochowy na dzień Patronki uczelni, na której wtedy pracowałem jako gościnny profesor i na doroczny wykład wybitnych gości, w tym wypadku prof. Adama Strzembosza. Wespół z prezydentem Ryszardem Kaczorowskim celebrowaliśmy niespodziewane spotkanie w prężnej Akademii Polonijnej.

Wcześniej utrzymywaliśmy korespondencyjne kontakty (bo od

1969 roku zamieszkałem w Kanadzie) szczególnie w czasie powstawania autobiografii „Życie nie tylko własne”. Użyczyłem do książki kilku fotografii z naszej szkoły w Garelochhead, na których byliśmy obaj z wychowawcami i kolegami żałując, że w wielu wypadkach nie potrafiliśmy już przypomnieć sobie niektórych nazwisk, jeszcze jeden dowód na potrzebę skrzętnego notowania w czas dla zachowania pamięci.



Książka Tadzia pięknie podsumowuje żywot jej autora i protagonisty, który z czasem zyskał w Londynie popularność i poważanie i zaczął odgrywać ważną rolę w życiu społecznym emigracji. Przez wiele lat udzielał się w Gminie Londyn Południe. Uhonorowaniem jego pełnego poświęcenia oddania pracy organizacyjnej był wybór w 1976 roku na przewodniczącego Polskiego Ośrodka Społeczno Kulturalnego. Przez dwie kadencje urzędowania popularyzował swoją organizację jeżdżąc po świecie, często w czasie wyjazdów zawodowych i spotykał się z Polakami na różnych kontynentach, a w stopniu nadzwyczajnym stał się w Londynie duchem sprawczym wielu ważkich akcji polskiej społeczności. W roku 1997 został prezesem Polskiej Fundacji Kulturalnej. Czy szło o ratowanie zasłużonego tygodnika żołnierskiego rodem jeszcze z ZSRR i Iraku "Orła Białego" czy później "Dziennika Polskiego" czy wreszcie wspieranie polskiej twórczości literackiej, Tadeusz Walczak, wieloletni dyrektor Polskiego Ośrodka Społeczno Kulturalnego w Londynie, nie żałował ani czasu, ani środków wsparcia.

Kiedy odbierałem nagrodę Związku Pisarzy Polskich na Uchodźtwie w 1991 roku, żartowałem, że warto było ongiś w Szkocji podpowiadać Tadziowi na lekcjach polskiego, bo to on właśnie był fundatorem nagrody, która mnie akurat przypadła i spowodowała przylot po odbiór do Londynu z Wrocławia, gdzie gościnnie wykładałem w katedrze Iberystyki.

Zaufanie



Florian Śmieja

Dom noclegowy jednej z polskich organizacji w Londynie nazywał się ładnie: hospicjum. Był położony przy szykownym skwerze niedaleko stacyjki kolejki podziemnej linii Piccadilly.

Mieścił się w pięknej dziewiętnastowiecznej kamienicy. Budynek był raczej szczupły w monumentalnym stylu całego sąsiedztwa.

Hospicjum dawało nie tylko znakomity, centralny adres pocztowy, ale oferowało ponadto studentom polskim niedrogie pokoje. Wprawdzie pomieszczenia były dwu i trzyosobowe, ale przy odrobinie cierpliwości i szczęściu można było wynająć jeden z trzech jednoosobowych pokoików.

Jeden z nich, pokój skromny, bez żadnych luksusów, umeblowany raczej po spartańsku zajmował Adam. Dostał go po Zupce, jego wieloletnim mieszkańcu. Zupka był statecznym, sympatycznym blondynem z wypiekami na uśmiechniętej stale twarzy. Studia zaczął w Bolonii po demobilizacji z II Korpusu. Tam też zakochał się we włoskiej studentce, z którą utrzymywał żywą korespondencję.

Ukończywszy studia chemii w Londynie, zaczął rozglądać się za pracą i pilnie wertował oferty ogłaszane w angielskiej prasie. Posyłał swoje zainteresowanie piśmiennie do firm poszukujących chemików i cierpliwie czekał na wezwanie na kwalifikacyjną rozmowę.

Kiedy wreszcie przyszło z Midlandów zaproszenie z wielkiej cementowni, Zupka błyskawicznie zadziałał. Najpierw pożyczył pieniędzy, by kupić sobie elegancki garnitur. Chciał zrobić jak

najlepsze wrażenie przy spotkaniu z przyszłym chlebodawcą. Pojechał pociągiem pierwszą klasą na znak, że siebie ceni.

W czasie rozmowy szerzej opowiedział o swoim życiu, także o zsyłce do Związku Sowieckiego. Wspomniał o zapamiętanej z tamtych czasów cementowni. Okazało się, że stary Anglik, który z nim rozmawiał, budował ją przed wojną dla firmy Portland.

W końcu padło pytanie o płacę. Zupka śmiało zażądał stosunkowo wysokiego wynagrodzenia. Dyrektor ze zdziwieniem zauważył, że petent chciał więcej od innych kandydatów nie mając żadnego doświadczenia, wszak starał się o pierwszą pracę. Elegancki Zupka odpowiedział spokojnie, że wprawdzie szukał pierwszej posady, ale myślał o stałej pozycji, o rzetelnej pracy, a nie o tymczasowym zatrudnieniu. Dostał stanowisko, o które się ubiegał, sprowadził wnet narzeczoną do Anglii, poślubił ją i oboje wyjechali na prowincję.

Jego pokój wziął Adam. Nie wiem, czy gdzieś studiował, utrzymywał się z dorywczych prac. To faszerował w fabryce pierogi, to zatrudniał się przy wyrobie lodów. Ponieważ od dłuższego już czasu zalegał z płaceniem komornego, zarządca domu inżynier Krótki, o rzęsach jak tropikalna ryba, po wielu ostrzeżeniach, wręczył mu wymówienie.

Za eksmitowanym nikt się nie ujął. Jedni go wcale nie znali,

drudzy, znając, nie widzieli sensu w interweniowaniu. Nie pamiętam, czy wiedział o sprawie ks. Wiśniewski, kapelan akademicki, który mieszkał na parterze. Był osobą bystrą i lubianą, spotykała się u niego tzw. złota młodzież, co nie chroniło go bynajmniej od spontanicznych sztubackich wybryków psotnych mieszkańców hospicjum, którzy np. włączali odkurzacz do kontaktu obok księżych drzwi na parterze, a w nocy czy nad ranem przekręcali na piętrze kontakt, który uruchamiał głośny sprzęt na dole.

Adama bliżej nie znałem, ale jego sprawa mnie dotknęła, sumienie obudził jego los. Współczułem mu. Nie rozumiałem potrzeby egzekwowania rygorystycznych przepisów, ścisłego szanowania reguł, wagi ostrzeżenia. Wydało mi się godniejsze błądzenie po stronie łaskawości i tolerancji. Wierzyłem na słowo i stanąłem przy boku ofiary nie interesując się bliżej przesłankami, którymi kierowali się zarządzający domem. Sam fakt, że instytucja nie była ściśle komercyjna, dodawał mi otuchy, aby zaapelować do sumień i zażądać cofnięcia młodemu człowiekowi nakazu opuszczenia domu. Wydawało mi się, że wezwanie do zaufania wbrew przesłankom i doświadczeniu, do ryzykowania raz jeszcze, było obowiązkiem przełożonych, że strata finansowa nie była współmierna z surowym potraktowaniem. Musiałem wtedy wyglądać jak zapalony misjonarz lub fanatyczny rzecznik spraw beznadziejnych.

Adam przez cały czas, kiedy ważyły się jego losy, zachowywał się nieporadnie, a przy tym trochę się jąkał, każąc mi wierzyć, że wstawiam się za człowiekiem, który sobie sam nie potrafi pomóc, że brakuje mu swobody, by mógł jasno wyłuszczyć źródła niepowodzenia. Moja elokwencja, czy powstały z powodu mojego wystąpienia ambaras, sprawiły, że nakaz opuszczenia mieszkania, odwołano. Dzięki mnie dano dłużnikowi jeszcze jedną szansę.

Zaraz po zapadnięciu przychylnej decyzji Adam przyszedł do mojego pokoju i długo i wylewnie dziękował mi za ingerencję i pomoc w jego sprawie. Uścisnąłem mu rękę. Pewnie czułem krzepiące zadowolenie ze swojego zachowania, z przeciwstawienia się opinii kierownictwa, z posłużenia się moralnym argumentem, ideologicznym szantażem, kiedy nic nie skutkowało.

Adam, ośmielony trochę, zaczął rozglądać się po moim pokoju. Spojrzał na stół, na półki z książkami. Zobaczył na wieszaku mój podniszczony letni płaszcz wymagający pilnego czyszczenia. Znam pralnię – odezwał się – Przyniosę wyczyszczony.

Nie oponowałem, aczkolwiek nie spodziewałem się żadnej wdzięczności oprócz słów podziękowania. Wyszedł z moim płaszczem, przepadł i więcej się w hospicjum nie pokazał. Płaszcza też już nigdy nie zobaczyłem, choć strata materialna

była minimalna i nie na tyle dotkliwa, by zachwiać skutecznie moim zaufaniem do drugiego człowieka.